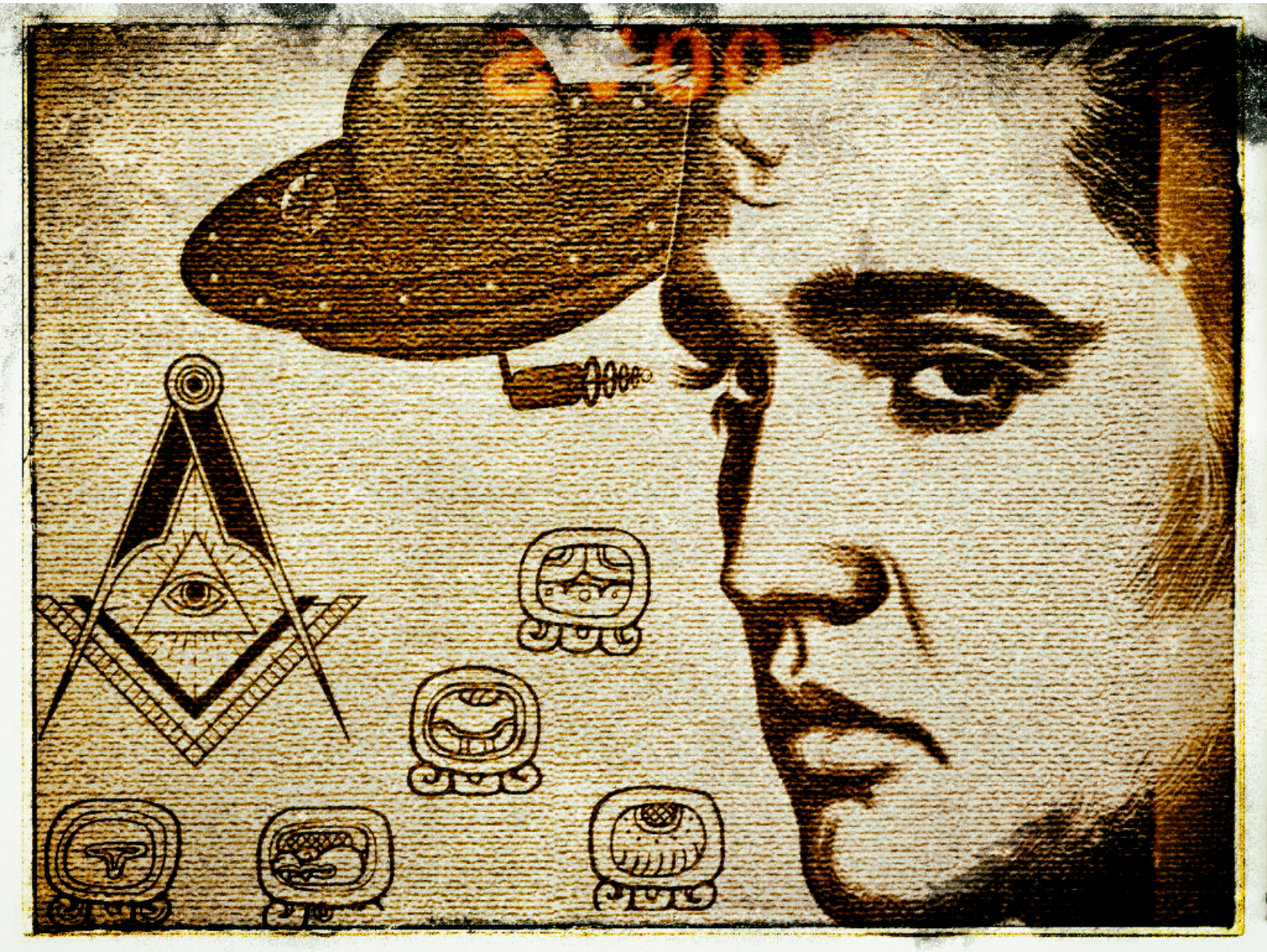

Adam Cebula „Pearl Harbor raz jeszcze na spiskowo”

Adam Cebula

Nie ma to jak teorie spiskowe. Prawda? Coś było… tak, wielką frajdą jest wykazanie, że właśnie odwrotnie. Ależ tak, kochany czytelniku, ja też uwielbiam czytać i oglądać takie historie, tyle że mam wymagania. Wnerwia mnie, gdy autor naciąga fakty, aż historyczna materia trzeszczy i jęczy ze zgrozy. No bo tak: teoria spiskowa musi tyczyć się głośnych faktów, być oparta na analizie tego, co naprawdę się wydarzyło, na prawdziwych dokumentach i nienaciąganej logice. Musi się dobrze trzymać kupy, wówczas wciąga czytelnika. Gdy rzecz jest przedstawiana z nadzieją, że publiczność zapomni o kluczowych faktach, to i owszem, może część tej publiki zapomni, ale część najzwyczajniej wyjdzie z sali.

7 grudnia 1941 r. mniej więcej o godzinie 7.49 rozpoczął się japoński nalot na bazę Pearl Harbor. Piszę godzinę „mniej więcej”, bo na przykład o 7.53 miało zostać nadane słynne Tora! Tora! Tora!, które oznaczało, że Amerykanie zostali całkowicie zaskoczeni. Rozkaz przygotowania się do ataku (Tenkai!) nadał o 7.40 komandor porucznik lotnictwa Mitsuo Fuchida; znamy chyba bardzo dokładnie przebieg zdarzeń, a co było „właściwym początkiem”, każdy sobie może sam wymyślić. Istotą sprawy jest, że wokół Pearl Harbor narosło tyle legend, że wygrzebanie prawdy pomimo drobiazgowej znajomości faktów zaczyna już wydawać się niemożliwe.

Podstawowa sprawa: czy to możliwe, aby potężna amerykańska flota Pacyfiku dostała takie lanie od pogardzanych „żółtków”? O wiele bardziej zjadliwe jest inne wyjaśnienie, można przyjąć, że na przykład Roberta B. Stinnetta, autora książki „Dzień kłamstwa. Prawda o Pearl Harbor” (za portalem wp.pl). Jak pisze autor na portalu: „Według Roberta B. Stinnetta to był powód, dla którego amerykańskie władze i prezydent Roosevelt dopuściły do ataku”. Powód? „Wobec narastających w społeczeństwie nastrojów izolacjonistycznych nie pozostało mu nic innego, jak zapewnić Ameryce udział w walce o wolność nieco okrężną drogą. Wiedział, że ludzie zapłacą za to życiem. Ilu zginie – tego wówczas nie mógł przewidzieć” – pisze autor w „Dniu kłamstwa…”. Na czym Stinnett opiera swoją ocenę? „Chodzi o tak zwane Memorandum McColluma. Oficer wywiadu Marynarki Wojennej napisał ją do komandorów Waltera S. Andersona i Dudleya W. Knoksa, doradców Roosevelta. Ma ona zawierać listę ośmiu działań, które, zdaniem autora (autorów, bo także piszącego dla wp) miały sprowokować Japonię do wojny. Jednak bez grzebania w historycznych źródłach możemy podejrzewać, że chodziło o coś innego, wystarczy cytat, który zamieszczono dla ilustracji tezy: „Jeśli w wyniku zastosowania tych środków Japonia posunie się do jawnego aktu agresji, tym lepiej. Musimy być przygotowani na to, że wojna tak czy inaczej wybuchnie”.

Ano, były możliwe odpowiedzi na trwającą od gdzieś 1937 roku ekspansję Japonii w obszarze

Pacyfiku. Możemy uznać, że zaczęła ją agresja na Chiny, była wojna z ZSRR, a USA cały czas obserwowały postępującą rozbudowę cesarskiej armii. Tak więc wymieniane w raporcie posunięcia, np. embargo na handel, miały służyć raczej powstrzymaniu agresywnych działań. Rzecz jednak w tym, że są to sprawy dobrze znane z historii. W każdym opisie wojny na Pacyfiku możemy sobie poczytać, jak narastał konflikt, także o tym, że USA wysłały swoje okręty na Pearl Harbor w nadziei, że rząd premiera Hideki Tōjō wyhamuje militarne zapędy.

Jest szereg innych zastanawiających faktów, np. dziś powszechnie znany, że „już jesienią 1940 r. amerykańscy kryptoanalitycy mieli złamać dwa japońskie kody łączności", jak podaje wp. Oczywiście amerykańskiemu wywiadowi było znane bardzo wiele faktów, złamano mnóstwo depesz, z których można było wysnuć wniosek, że szykuje się duża militarna akcja. Tyle że bez historycznego kontekstu nie jesteśmy w stanie ocenić ich wartości. Trudno się dziwić p., że ostrzeżenie peruwiańskiego dyplomaty, które dotarło do wywiadu marynarki wojennej, do wspomnianego Arthura McColluma, zostało potraktowane jak plotka. Ponieważ nadeszło 11 miesięcy przed atakiem. Warto sobie uzmysłowić, że w najlepszym razie mogło zostać potraktowane jak niejasny plan.

Zasadniczą sprawą jednak jest proste pytanie: czy Franklin Delano Roosevelt rzeczywiście potrzebował prawdziwej KATASTROFY floty, by przełamać pacyfistyczne nastroje? Otóż gdyby świadomie blokował informacje o zbliżającym się ataku, musiałby się spodziewać – to trzeba podkreślić – prawdopodobnej KATASTROFY. I ta, jeśli sobie poczytamy, mogła osiągnąć o wiele większe rozmiary, niż faktycznie miało miejsce. Na przykład nie zniszczono podczas ataku zbiorników z paliwem dla statków, a mogło się to stać, i gdyby się stało, to port byłby unieruchomiony na wiele miesięcy, i być może bitwa o Midway (4-7 czerwca 1942 r.) miałaby zupełnie inny przebieg.

Proste pytanie: czy Ameryka mogłaby nie wypowiadać wojny, gdyby nalot odbył się na choćby częściowo przygotowaną bazę? Gdyby straty były o wiele mniejsze? Sam fakt pojawienia się takich sił w okolicy portu wojennego, nawet gdyby do niego ani jeden samolot nie doleciał, gdyby zatrzymano wyprawę gdzieś na morzu – byłby nie do zignorowania. Czy by Amerykanie chcieli, czy nie, wojna by była. Powiedzmy sobie to szczerze, stan nastrojów był we władaniu propagandy. Dla postawy obywateli o wiele ważniejsze znaczenie miało to, co się pisało w gazetach i mówiło w radiu, niż ile bomb spadło na port. Wręcz przeciwnie: gdyby prezydent USA chciał podgrzać nastroje, musiałby wziąć poważnie pod uwagę, że taki łomot, który zresztą do dnia dzisiejszego nie daje Amerykanom spokoju, mógłby odegrać rolę dokładnie odwrotną: zmusić rząd do faktycznej kapitulacji wobec Tokio, do zawarcia separatystycznego pokoju, o który właśnie Cesarstwu chodziło.

Co powinien zrobić Franklin Delano Roosevelt, gdyby chciał, by Amerykanie poczuli się zmuszeni do udziału w wojnie, i jednocześnie miał świadomość, że w kierunku flagowej bazy podąża wielka armada? Oczywiście ostrzec jej dowództwo, by admirał Husband Edward Kimmel zdążył się przygotować. Bo cokolwiek by się działo, o ile atak by nastąpił, w żadnym wariancie zdarzeń nie wywiązałaby się bitwa wystarczająco zażarta, aby propaganda mogła ją przedstawić jako heroiczne zmagania. A nic tak nie wzmaga bojowego ducha, jak solidny łomot spuszczony enplowi. Odwrotnie: łomot, który on nam spuszcza, działa na ów bojowy zapał jak woda na ogień. Zależność wielekroć przez tysiąclecia sprawdzona.

To, czego potrzebował pan prezydent dla wzmożenia patriotycznych nastrojów, to nie realna bitwa, lecz odpowiednia relacja o niej. Nie potrzebował katastrofy, katastrofa była dokładnie tym, czego dla odpowiedniego efektu propagandowego należało za wszelką cenę uniknąć. Tu tkwi zasadniczy błąd teorii spiskowych. Powiedzmy sobie: gdyby Roosevelt działał celowo i nie był japońskim szpiegiem, powinien działać na odwrót. Choćby dlatego powinien natychmiast powiadomić Kimmela i dopilnować, czy wziął się do roboty, bo nie za bardzo było jak uniknąć potężnych strat. Jedyna pewna metoda to ucieczka pancerników z portu poza zasięg lotnictwa. Amerykanie powinni byli już to

dobrze wiedzieć po doświadczeniach z wojny w Europie.

Jest taka prosta zasada w sprawdzaniu poprawności hipotez: spróbuj sfalsyfikować swój pomysł, a jeśli nie ci coś absurdalnego, to pewnie pomysł jest do bani. Otóż teza, że admirał Kimmel celowo nie został ostrzeżony, nie wytrzymuje tego testu.

Tym bardziej że ostrzeżony został. Wywiad USA wysłał do jednostek bojowych informację o tym, że szykuje się jakaś duża akcja militarna kilka dni przed atakiem. Nie był znany ani jej cel, ani data. Po prostu powiedzieli, co wiedzieli.

Teoria spiskowa, aby była naprawdę interesująca, nie może być naciągana. W opowieści o celowym sprowokowaniu klęski przez władze w Waszyngtonie standardowo podaje się pewne ostre naciągnięcie jako prawdę. To mianowicie, że rzecz całą zaplanowano tak, by starty były niewielkie.

W rzeczywistości USA straciły pięć największych pancerników. „Które nie miały już znaczenia, bo bitwy rozgrywano za pomocą lotniskowców', powiadają zwolennicy spisku.

Eksperyment „myślowy" pozwala przywrócić właściwy wymiar tej teorii. Miłośnicy „starych karabinów" z pewnością pamiętają o tym, że operacja lądowania w Normandii miała w pewnym momencie zawisnąć na włosku, gdy w kierunku oddziałów inwazyjnych ruszyły pancerne odwody. Zostały zatrzymane rozkazem Hitlera, który był przekonany, że właściwa inwazja nastąpi w rejonie Calais. Rzecz przedstawia się wręcz jako rodzaj boskiej interwencji w bieg zdarzeń.

Inną sprawą jest to, jak naprawdę było groźnie, lecz… wyobraźmy sobie sztab hitlerowców. Powiedzmy, jest gdzieś druga w nocy, i wpada adiutant.

– Heil, Dodek, chcesz najpierw dobrą wieść czy złą?

– Dawaj dobrą.

– Jeszcze nie strzelają.

– Kto?

– No, to jest właśnie ta zła wiadomość. W kierunku Calais idzie silny zespół okrętów, najmniej trzy pancerniki, jest osłona nawodna i lotnicza.

– Luzik, panowie – uspokaja wszystkich Dodek – mam super duper szpiega i wiem, że to część operacji Fortitude. Prawdziwa jatka, czyli operacja Neptun, zacznie się za kilka godzin u wybrzeży Normandii. Ten zespół będzie tylko pozorował atak, żeby odciągnąć nasze siły.

– Dodek – adiutant nie ustępuje – wykombinuj coś, bo nam zrobią jesień średniowiecza w Calais.

– Bez napinki, mówię wam, że to tylko zmyłka, tam już zrzucili kukły na spadochronach, pozorują naloty za pomocą pasków folii, to jest taka sama pozoracja.

– Tylko że jak zrobią pozorowany atak za pomocą prawdziwej artylerii okrętowej, to mogą mieć zaraz nieplanowany sukces, i Fortitude czy nie, będziemy się zbierać po tym przez wiele miesięcy.

Wyobraźmy sobie, że cudownym sposobem utracone w Pearl Harbor okręty zmartwychwstają wraz z załogami i wyposażeniem. Dzięki temu dowództwo inwazji stać na pewną rozrzutność. Kieruje okręty w kierunku Calais w celu związania sił niemieckich. Są to na przykład dwa duże pancerniki USS Oklahoma i USS Arizona. Pancernik USS Utah służył już jako okręt pomocniczy, lecz w takiej

operacji jak wymyślony atak na Calais świetnie by się sprawdził.

Uzbrojenie USS Oklahoma to 10 dział 356 mm i 18 127 mm, USS Arizona to 12 dział 356 mm i 22 działa 127 mm. USS Utah miał 10 dział 305 mm i 16 127 mm. Salwa takiego zespołu nawet bez trafienia mogła unieszkodliwić baterie nabrzeżne, zdemolować urządzenia portowe. Masa pocisku kalibru 356 mm to około 680 kg. Prócz zagrożenia ostrzałem Niemcy musieli by się liczyć z tym, że w ramach pozorowanego ataku na ląd wyjdą oddziały dywersyjne. W przypadku, jak wojskowi mówią elegancko, wyeliminowania stanowisk obrony wybrzeża przez artylerię okrętową, czołgi (cokolwiek, co strzela) musiałyby łatać dziurę wybitą przez pozorowany atak. Bo jeśli nie załatają, to sprawy mogą się potoczyć naprawdę niespodziewanie.

Sytuacja tak zwanego nieplanowanego powodzenia zdarzyła się naprawdę. 7 marca 1945 roku most Ludendorffa w mieście Remagen został niespodziewanie zdobyty przez amerykańską 9. Dywizję Pancerną. Niemcy próbowali go dwukrotnie wysadzić, nie udało się, i po przeprawie przeszły oddziały, w tym pancerne, które zdobyły przyczółek, a z niego ruszyła dalsza ofensywa.

Opowieści o nieprzydatności pancerników to takie ćwierćprawdy bez kontekstu. Owszem, kiepsko sprawiły się w operacjach na Pacyfiku, w pełnomorskich bitwach. W operacjach zwłaszcza desantowych wybitnie sprawdziły się jako pływające stanowiska artyleryjskie. Dość powiedzieć, że pancerniki typu Iowa zwodowane podczas II wojny światowej służyły aż do 2006 roku.

Posiadanie „nadmiarowej" siły ognia w takich operacjach jak Overlord mogło być na miarę ich powodzenia – lub nie. W trakcie lądowania w Normandii w pobliżu Calais pływały niewielkie kutry wyposażone w tzw. odbijacze kątowe, dzięki którym udawały wielkie okręty. Podstęp udał się, bo Dodek nie miał superszpiona, a dokładnie zawalony dezinformacją nie potrafił wykombinować, co jest prawdą, a co ściemą. Gdyby jednak prócz tych kutrów pojawiłby się „pozorowany atak" kalibru 356 mm, kombinowanie, gdzie naprawdę strzelają, straciłoby sens.

Otóż w Pearl Harbor marynarka USA straciła pięć pancerników, trzy z nich dało się podnieść i wyremontować, dwa tu wymienione nie wróciły do służby, stracono wiele okrętów o mniejszym znaczeniu, jak ów USS Utah, 188 samolotów, zniszczona została infrastruktura, przy czym, jak już napisałem, przypadkiem ocalały wielkie zapasy paliwa.

Pomysł, że takie straty opłaciłyby się dla wywołania efektu propagandowego, który prawdopodobnie potrafiłoby uzyskać kilku zdolniejszych pismaków serią artykułów, jest zwyczajnie szalony.

Od czasów wojny toczy się spór o to, kto jest winien tej klęski. Najbardziej podejrzanym i poszkodowanym zarazem jest admirał Edward Kimmel, drugim jest generał Walter Campbell Short, dowódca lądowej obrony Hawajów.

Żadnemu z nich nie udowodniono konkretnej winy, jedynie złe rozpoznanie sytuacji. Jednak Kimmel przez lata starał się wykazać, że zła sława, jaką zyskał po Pearl Harbor, nie jemu się należała. Po latach można przyznać, że faktycznie nawalił wywiad, ważne informacje nie docierały do admirała, nawaliło naczelne dowództwo marynarki, które nie udzielało wsparcia, ale też nie zajęło się przekazywaniem tych danych, które mogły dotyczyć bazy, a którymi wywiad się jednak pochwalił.

W jednym z programów wypowiedział się człowiek zajmujący się sprawą. Stwierdził, że gdyby dowództwo dostało ostrzeżenie choćby pół godziny przed atakiem, to bitwa wyglądałaby zupełnie inaczej. Pewnie nie spodziewał się, że ktokolwiek zastanowi się nad tym, co powiedział.

O'ahu, wyspa, na której znajduje się Pearl Harbor, jak łatwo sprawdziłem na mapie znalezionej w Internecie, od bazy do północnego krańca liczy jakieś 43 kilometry. Odległości do wschodniego i zachodniego wybrzeża wynoszą 20-30km. O ile pamiętam, główne siły japońskie atakowały przez

wyspę od północy. Gdyby wojsko wystawiło na brzegach obserwatorów, zaalarmowaliby bazę, mając powietrzną armadę, jakieś 20-30km od brzegu. Cóż to oznacza?

Że gdyby na wyspie były jakieś uczciwe przygotowania do ataku, to zapewne przy bardzo oszczędnych środkach (jak z czasów I wojny światowej – żołnierz plus lornetka), można byłoby ogłosić alarm przynajmniej kwadrans przed nalotem. Otóż jacyś obserwatorzy przy takim nagromadzeniu okrętów powinni być na brzegach. Przecież mogły się kręcić tam okręty podwodne wysadzające szpiegów lub same prowadzące obserwację. Można oszacować, że prędkość wyprawy ze względu na samoloty bombowe wynosiła około 250 km/h. Zakładając nawet 300 km/h, dostajemy kwadrans (do, powiedzmy, dwudziestu minut) od momentu zauważenia wyprawy.

Z wojskiem mam niewiele wspólnego. Jak powiedział, ku memu ukontentowaniu, pewien oficer – armia rozstała się ze mną z ulgą. Mimo jednak braku wzajemnego entuzjazmu zapamiętałem, że podstawowym obowiązkiem dowódcy jest kalkulacja czasu. Ot i co, ktoś, może admirał, może generał, może ktoś jeszcze inny, powinien wyliczyć, ile czasu od wykrycia wyprawy upłynie do momentu ataku, ile zabraknie obronie p-lot, i coś z tym fantem zrobić. Nie można postawić byle gdzie obserwatora i liczyć, że szlachta na koń wsiędzie i jakoś to będzie.

W Anglii dyżurni lotnicy siedzieli w kombinezonach i po ogłoszeniu alarmu gnali do samolotów, ponieważ wiedzieli, że mimo radarów czasu jest na styk, tylko tyle, by wystartować, znaleźć się dość wysoko, i dopaść Niemców tuż przed celem.

Jeśli brakuje tego czasu, to wojsko albo ćwiczy do znudzenia czynności alarmowe, aż zmieści się w limitach, albo na przykład przesuwa posterunki obserwacyjne, by wcześniej wykryć wroga. Wokół tak wielkiej bazy powinny przynajmniej stale pływać kutry patrolowe, choć aż prosiło się samoloty, które mogłyby obserwować przestrzeń w obszarze nawet kilkuset kilometrów.

Być powinno, a nie było. Nawet tych przytomnych obserwatorów na brzegach. Nie było kalkulacji czasu, co znaczy, że nie było elementarnej gotowości bojowej.

Cóż, dobrze wiadomo, że już w okolicy godziny 7 rano armadę obserwował testowany na wyspie radar. Jego obsługa zameldowała o dziwnym obiekcie… i nic. Nic, ponieważ dowództwo lotnictwa nie potrafiło rozstrzygnąć, czy to czasem nie są własne samoloty. Najzwyczajniej w świecie mieliśmy klasyczny wojskowy burdel plus przekonanie, że nam nikt nie podskoczy i wszystko to strachy na lachy.

Niestety, jak trochę pogrzebać w powszechnie znanych faktach, to nie ma śladu po żadnych spiskach w przypadku ataku na Pear Harbor.

Po prostu szkoda. Była kiedyś poświęcona II wojnie światowej seria Biblioteka Żółtego Tygrysa. Podobno stanowiła element komunistycznej propagandy, ba, na pewno! Sęk w tym, że wiele historii z II wojny światowej opisano tam na poziomie, który wspomina się z łezką w oku. Pisali je autorzy znający się na rzeczy. Rozumieli techniczne niuanse, znali bardzo dobrze fakty, znali się na wojsku, celowali na inteligentnego czytelnika. Produkcja sensacji, że coś się wyda niezwykłe czy zaskakujące, bo o czymś nie pomyśli czytający, była wykluczona.

Nie mam żadnej mądrej konkluzji, zaledwie wrażenie. Takie, że z pozoru wyjątkowo smaczny dla czytelnika gatunek coraz częściej okazuje się dziennikarską papraniną obliczoną na nic niewiedzącego czytelnika, co to nie tylko słabo orientuje się w temacie opowieści, ale ma kiepską wiedzę ogólną, na dodatek nie myśli samodzielnie i chyba tak naprawdę istnieje wyłącznie w wyobraźni piszących. Mam wrażenie, że autorzy wyobrażają sobie coraz głupszych czytelników. Po prostu szkoda.

Adam Cebula